

WYJARZMIONA

CZYLI HISTORIA BIEDNEJ DZIEWCZyny ZE WSI
PRZEZ NIĄ SAMĄ OPOWIEDZIANA

RENATA
BOŻEK

MARGINESY

Zrealizowano w ramach stypendium
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

oraz stypendium z Funduszu Popierania Twórczości
Stowarzyszenia Autorów ZAiKS

za'KS
sprzyjamy wyobraźni

COPYRIGHT © BY Renata Bożek

Published by arrangement with Beata Stasińska Literary Agency

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Rodzicom, z wdzięcznością

Życzyłbym sobie, by moje chłopskie pochodzenie –
w odniesieniu do mojego pisanía zwłaszcza –
nigdy nie było mi tarczą; zawsze – mieczem.

MARIAN PILOT

CZĘŚĆ I
WIEŚ

Rok 1831

*O tym, jak niespełna dziewięcioletnia Rozalka
poprzysięga zemstę, wyrusza na bagna po hubę,
spotyka polskiego oficera i znajduje złoto*

Juz dostanie łode mnie zapłatę, skurwisyn. Zacisnęła usta, przeżegnała się i znikła w wyrośniętych paprociach.

Trza się było spieszyć, zeby, tak jak babka kazała, zaciąć ciunc cagę za dnia, a skuńczyć, jak słuńce zrobi się cyrwune. Jutro pełnia, to się potnie hube psy ksiynzycu, połowę położy na piec wysuszyć, drugo połowę zaleje najlepszo wódko, zeby naciungnena do pasterki. W pasterke pokropi się panica portki i buty z najlepszy skóry, robiune w Lublinie za tyle, ze i krowinę by się kupiło, i po tym tylko patrzyć, jak go kołtun zacnie wyżyroć łod środka abo i do inszego niescyńścia doprowadzi. Znajdzie tys sposób, zeby pokropić ogary.

Ten siwy to po prowadzie tylko Jakubka capnun i wiency szkody narobiuł koszuli niż nodze, ale skóra się ślimaczyła i matka zło była na Rozalkę, ze nie psypilnowała brata. To się dla matki nie liczyło, ze psa kijem odguniła i za to dostała baty. Na ni to się goi jak na psie, zarośnie i nic nie bedzie widać, godała matka i było znać, ze załuje, ze to nie córy, tylko ulubionego synka rana się ślimacy. Płakać się Rozalce zachciało, ale tylko raz i drugi pociongna nosem, otarła ocy i zaklena na panica. Juz jo się z tobo police jak Zojka Rozbójnica z ji panem, obiecała i ostrożnie stawiała stopy, bo grunt robiół się miętszy.

Jedno ręką rozgarniała paprocie, drugo potrząsała Maryścynym kołtunem, który wycyganiła od dziewczki za zakłęcie miłosne, i nie mogła wydarować matce, że drze jej włosy grzybieniem co niedziela i za nic nie do siebie psemowić, że taki kołtun ból z kości i z kzyza wyciungo, no i jak babka żyje pśesło kopę lat, to jesce nie słysała, żeby komu nie pomóg na bóle i kłopoty. A i Stsyga się kołtuna boi. Ojciec się babce przeciwioł, że jakby się Stsyga kołtuna bała, toby kołtunowatym dała przelyść bez bagna i kwiot paproci znalyść, a nie topiła jednego za drugim. Na to babka miała dobru odpowiedź: najbardzi to się łuna złego kołtuna boi, tego, co nie na łbie cy miendzy nogami siedzi, ino w środku rośnie i jak się go nie pilnuje, psynosi po kościach łupanie, w oczach zaćmienie, potraw obzydzenie, żył pokurczenie, wzodów ropienie, guzów narastanie, boleści i słabowanie, abo i co jesce gorsego. Na takiego kołtuna to jedno tylko pomoze: jeza złapać, rosołu na nim uwazyć, smolec z wieczu zebrać, reste zjiść pzez jeden dzień, a jak dziecko to dni dwa, i cekać, aż kołtun wylyzie i na łbie się wywije. Jak zacznie wyłazić, tsa go jezowym smalcem smarować, a jak braknie jezoowego, to z cornego kota, żeby się choroba psykleiła i do środka nie wracała.

Coś zaseleściło. Rozalcyne nogi zrobiły się miętkie i nie mogła ich ruszyć. Międlila czosnek w gębie i modliła się do Janioła Stróza, i wymodliła, bo Prosiok, co wcześni się gdzieś zawieruszył, przylecioł i jak gdyby nigdy nic zachrumkoł, powenszył i trzunchnuł jo w nogę ciepłym nosem. Niemoc jo odeszła i mogła ruszyć najpirw jednom, potem drugom nogom, jakby się już Stsygi nie bała. Wziena głęboki wdech i pobiegła za wieprzkiem w stronę starego buka, na polanę niedaleko bagniska.

– Sukoj bucyny, udawoj, żeś ludzkie dziecko, i cekoj tu na mnie – nakazała Rozalka prosięciu, podrapała go za uszami tak, jak lubioł najbardzi, i poleciała w kierunku mokradła.

Słońce przebijało się zza chmur i świeciło prosto na brzozy nad Lejem, że zrobiły się złote i cyrwune, jakby się poliły. Rozalce zdawało się, że za plecami słyszy trzask ognia, ale nie na darmo babka jo upominała, że nie wolno patrzeć do tyłu, choćby nie wiadomo co. Nagle stanęła jak wryta. Z bagien dochodziło coś jakby pogwizdywanie podobne do gwizdania wuja Kazika.

Może wuj z pański wojny wraco, ucieszyła się. Nie, wuj by nie loz w łazy psy Leju, tam nikt mundry sie nie włócy. Jak nic to musi Stsyga, jak nic pogwizduje z radości, że się ji młodo jucha trafiła, przestraszyła się. Resztką sił, cieniutkim głosikiem zanuciła:

Luli luli la,
Stsygo piekniutka,
Spij, maleńko, spij,
doj mi pore chwil.

Gwizdanie ustało. Nie boje sie, nie boje sie. Stukała zębami. Wuj Kazik opowiodoł, że stsygi, diobły i pany chłopskim strachem się żywią, od tego strachu rosno jak tucone świnię. I zeczywiście, u dziedzica syi nie było widać spod słoniny i mówiły, że niejednego kunia zamenczun pod sobo. A za takiego zamen-czune go kunia poctowego łojciec mówił trza dać majuntek, całe sto łosiemdziesiunt złoty. Panicz był wiotki jak brzozowo witka, ale rumiany, nerwowy i złośliwy, i jak kogo trzasnon batem albo i kopnon, to takiego kopnięcia i wielki chłop jak karbowy Brytan by się nie powstydzioł, to musi, rozumowała, chłopski strach żywić jego siłę do menczynia ludzi. Pani i panienka, choć tłuściutkie i różowe, to jakieś takie słabowite i jak co im nie po myśli, od razu uderzają w płacz albo w modlitwę. Jak panienka Marylka wybiła Rozalce przydniego zymba, no niechcuncy i takiego, co się som ruszoł, że Rozalka mało co pocuła, to tyż się popłakała, tako była wrażliwo. Panno apteczkowo krzyk miała

mocny, a i casami trzasnena dziewczkę po mordzie, ale matka mówiła, ze nigdy z darmoracji i nie za mocno, i nawet wuj Kazik na nio złego słowa nie powiedział. Staro dziedziczka, młody dziedziczki matka, wyschnięto była i zgięto wół jak babka, za to na dziewczki ciento i mówiły, ze swojo panne szluzonco tak drencyła, az ta nakładła kamieni w podołek i się utopiła w stawie.

Stary pani to Rozalka bała się nie mni od panicza i Stsygi. Matce, kiedy ta z Rozalką w brzuchu była, tak przylała batem, ze mało co dziecka nie straciła, i to z tego, ze matka niby na nio paskudnie spojzała. Ich dziewczka Maryśka do ty pory miała na ramieniu bliznę po wielmożny pani, pamiuntke po tym, jak porwała jabko spod dworski jabłunki. Mniejszo wtedy była od Rozalki, a jabko wół zgniłe. Musiała wielmożno pani mocno jo uwalić, zeby taki ślad na całe zycie zrobić, bo po batach ojca żadnych śladów nie było, co najwyży przez parę dni piekunco smuga. Matka godała, ze Maryśka sama sobie winno, ze do dworski jabłunki się zakradła. Ojciec się matce spspeciwiół, ze z pańskiego to nie gzych, byle nie złapali, to Rozalka juz nie wi, komu wiezyć.

Zamyśliła się nad tym gzychem nie-gzychem i ani się spostrzegła, jak stanena pod brzoza z cago. Wyciungnena z zawinięty chustki, co wziena ze sobo, i rozłożyła koło pnia co następuje: napoczęto główkę cosnku; wyschłego kruka, który służył ji do odganiania diabłów zamienionych w zajunce i ogólnie dodawół animuszu; drzyzgę z ksyza pana Jesusa, co babka wymieniła u Cygana na tłusto kokoszkę i dała ji w łodpust; przedarty na pół wizerunek Anioła Stróza, dostała go od dziada prosalnego za to, ze podała mu wody i ogólnie była miło, oraz Maryścynego kołtuna długiego na duży palec, twardego i tłustego od łoju. Kozik, co wuj Kazik zostawił ji, kiedy go zabrały w rekruty, wziena w zęby, podciągnena koszulę i wspięła się po pniu w kierunku corny narośli. Szybko jej poszło, do łożenia po drzewach była pirszo, żodyn pastuch nie łąziół tak wysoko jak łuna wybirać jaja

wronom i ogólnie patrzeć na świat z wysoka. Nie było łatwo ściąć grzyba, no babka nauczyła ją, jak wbijać nóż w korę i zaklinać:

Bzozo, bzozo,
niech cie błogosławio anieli,
niech cie ziemia rodzi, woda chłodzi,
słonecko psygzewo,
łoddój mi białoporka,
a weź byle skorka.

Rozalka siedziała okrakiem na gałęzi, jedno rękę się przytrzymywała, drugo łupała hubę i cicho tłumaczyła bzozie, po co potrzebuje cagi. Brzoza zrozumiała. Rozalka wrzuciła grzyba w podołek, miejsce po nim wysmarowała śliną wymieszaną z czosnkiem i już miała zjechać po pniu na dół, kiedy nagle usłyszała krzyk:

– Kurrrwa mać, niech to diabli wezmą!

Na to, że Strzyga umi się śmiać jak młoda dziedziczka, płakać jak porzucone niemowluntko, rzyć jak głodno szkapa, Rozalka była przygotowana. Ale żeby klena jak wilkołaski panic, to się nie spodziewała! Nikt mi nie uwieży, pomyślała i zakręciło się jej w głowie ze strachu, że kruka zostawiła pod dzewem i próc restek cosnku w gembie i modlitwy nic ji nie bruni. Pzywarła do pnia i błagała Janioła Stróza ło pomoc.

Cyrwune słuńce migotało w kępach karłowatych olch, z dworu słyhać było ładne granie, jak nic nauczyciel groł na swoich skrzypkach. Rozalka na próżno odwracała wzrok od jeziora, dobrze widocznego z wierchołka brzozy. Jej oczy przyciągało coś jak ludzka postać powoli sunąca w kierunku najgorszego bagna. Dziad proszalny bez jednego oka mówił, że Stsyga podobno je do młodej panny, co zamiast palców ma pazury, w gębie kły długie jak u wilka, w oczach głód, jakiego nawet w casach

największy nędzy u ludzi nie zobocy, nago chodzi, skórę corno i popękano pokazuje bez wstydu, bo ji wszystko jedno, byle krwi się napić. Babka niby się z dziadem zgadzała, ale i tak miała ostatnie zdanie, że ta u nich na Zurawińcu, jak nic psekliento bękartka brata z siostrą, co do tego ni mo wontpliwości, niejedno psybiro postać, może być i chłopem, i psem, i panienko, jak zechce, tako zmyślnie ta ich wilkołasko Stsyga.

Janiele boży, strózu mój, ty zawse psy mnie stój, rano, wieczór, we dnie, w nocy, bundź mi zawse do pomocy, błagała Rozalka i nie mogła się nadziwić, że Stsyga idzie niemrawo, wzywo Matki Boski i coś jakby ślocho.

Nie, Stsyga by tak nie wzescała na widok zaskruńca i nie siekała go jak głupia sablo, to jak nic Polok z przeklinania i wyglundu. Odetchnęła. Po chwili otworzyła głębę ze zdziwienia. Różnych Poloków widziała, ale nie takiego, co bardzi podobny do parobka niz pana. Eee, ten Polok musi być wcale niestrasny, skoro boi się zaskruńca jak Władek kalika, co mu pastuchy wunza wzucaly do portek, uznała i zjechała po pniu na ziemię.

Schowała cagę w węzelek, włożyła do ust ząbek cosnku, kruczka przywiązała do pasa i zawahała się. Może polecę do karcmy, zawołom żołniezy, to Poloka złapio i dadzo te tsy ruble, co mowily dać za polskiego zdrajce? Zara tam dadzo, rozgadywała sobie, dla siebie wezmo, i tyle, a jesce ojciec do mi w skórę, że po bagnach się włócę, choć zakazoł. Eee, lepi zoboce, co tam z Polokiem się dzieje, postanowiła spokojniejsza, że Stsyga zajęto kim innym. Wiadomo, u pana jucha lepszo niz u chama.

Pan wynosił błagania do Matki Boski, Jezusa i wszystkich świntych, z których zapamiętała Cypriana, Cecylię i Jana. W tym czasie Rozalka sprawdzała kijem grunt przed sobą i wyszukiwała twarde kępy traw. Przykucnęła za wierzbą i przyglądała się, jak pan krok po kroku podchodzi do najstraszniejszego bajora. Brudny jak parobek i suchy jak panicz, to dużo pożywienia z niego Stsyga mieć nie bedzie, ale i tak wiency niz z takiego dziecka

jak łuna, co mu dopiro idzie na dziewiunty rok. Podeszła parę kroków bliżej, żeby go lepi zoboczyć.

A jak to jaki Stsygi krewny i sykują się na goście, przyszło jej do głowy. Tak się tego wylękla, że aż się musiała złapać bzózki, co rosła na brzegu bagniska.

– Zmiłowania, Panie, zmiłowania! – darła się na cały głos ta Stsyga nie-Stsyga.

To musi być Polok, godo jak Polok i wyglondo jak Polok, Stsyga by tak zmiłowania do Pana w niebiesiach nie wołała. Spoglundała śmieli na młodego pana. Probosc godoł, że panom się lepi wiedzie, bo Bogu milsi, Pan Bóg ich na panów stworzuł, to i chętni ich słucho, dobrobytem i swoim poparciem obdarczo, to Rozalka się zaciekawiła, jak Pan Bóg Poloka z bagna wyciungnie.

Brudny, zakrwawiony, w poszarpanym ubraniu, pan, a na pana nie wyglundo, nie mogła się nadziwić. Jedyne, co miał porzundne, to niedużo torba i błyszczunco szabla. Włosy to miał tak pozlepiane farbo, że kto nienawykły móg się zmylić, że to kołtun, ale Stsyga na kołtunach zno się dobrze, to się nie nabieze, szacowała Rozalka i kręciła głową, że Polok głupio robi, jak wysarpuje nogi z błota, zamiast się wolno przekryncić na bok, położyć na kępie trawy i sięgnuć po wierzbowo gałunż. Jak nic Bóg go jesce nie usłyszał i nie odpowiedział ratunku. Jakby złapał gałunż, toby się mu udało wycółgać na twarde. Jakby ksyk-nena i powiedziała mu, co mo robić, toby się wyratował.

Drapała się po głowie i patrzyła na swojego kruka, co ji go wszystkie na pasieniu zazdrościły i który dodawał ji siły i tera. Znalazła go z wujkiem Kazikiem, jak szukały Prosioka, będzie jakieś dwa lata nazad. Pasła świnię w lesie i panicz psylecioł na swoi kobyłę, a za nim jego psia zgraja. Wlazła na buka, to poscekały, i tyle. Prosiok, wtedy ledwie odrośnięty od ziemi, się wystraszył i pognoł na bagna. Świnty Francisek musiał nad nim czuwać, bo wujek zbiroł niedaleko grzyby i usłyszał ji wołanie,

to psylecioł ich ratować. Niedaleko miejsca, w którym tera stała, posłyseli świńskie popłakiwanie. Niewiele myślunc, zrobiła dwa kroki i zapadła się po kolana. Kiedy zacena płakać, że Stsyga jo wciungo, wuj kazoł sybko się rozejrzeć koło siebie, złapać jaki gałęzi, mocny na tyle, zeby się podciungnuć na rękach i znaleźć na twardym. Potem pokazoł kempy, po których do się przejść na wysepkę na brzegu Leja, skund zawodziół ji kochany wieprzek. Jak zobaczyła go żywego, az się popłakała z radości i śmichu. Niedługo potem dziedzic oddoł wujka w rekruty, ale co się od niego nauczyła, to się nauczyła.

Takiego wujka nie miał najwyraźni Polok. Szarpoł się z bag-nem az strach. Wciungneno go juz za kolana. Byłby dla niego ratunek, gdyby wesła na brzózkę i nagięła dzewo tak, zeby złapoł się wierzchołka i się wyciungnuł. A moze i nie, bo Stsyga jak się na kogo zasadzi, to ratunku ni mo. No żeby zasadziła się kiedy na pana, to Rozalka nie słysała.

– Hej, ty tam, wleż na tę brzózkę i przychyl, żebym mógł złapać, byle szybko! – Polak ją zauważył i zawołał pańskim głosem.

Wzdrygnęła się i rozejrzała się, cy to na pewno do ni. Nikogo innego nie było. Pan się na nią darł, zeby włąziła na drzewko, ale ji coś mówiło ze środka: nie ruszuj się, nie ruszuj. No to się nie ruszała. Kołtun, jak nic mój kołtun się odezwół, ucieszyła się. Stała nieruchomo i patrzyła na obłocone nogi, po których łąziły mrówki. Od czasu do czasu rzucała okiem na Poloka.

Przestał się na nio drzeć i tylko patrzył. A patrzył tak, ze jakby spojrzenie mogło zabić, to byłaby juz trup. Zamknena oczy. Doszedł ją smród gówna. Posrał się ze strachu, pan się posrał ze strachu, parsknęła śmiechem i zakręciła krukiem nad głową. Polok, jak to Polok, nie pokozoł po sobie, ze popuściuł, tylko ładnie prosiół Rozalkę:

– Wejdz na tę brzózkę, dziecko, i pomóż mi się stąd wyciągnąć, dziecino miła. Co chcesz, dam ci, rodzinę twoją wykupię, ziemi wam nakupię, ciebie zabiorę do miasta i przy moi matce

na panienkę wykształcę, ty mi wyglądasz na panienkę, tylko pomóż mi, pomóż – zaklinał.

Sięgnął do torby i coś rzucił w jej kierunku. Zdrętwiała ze strachu.

– Na początek weź tego imperiała, samo złoto – zachęcał.

Rozalka stała nieruchomo.

– Weź to, weź – przymilał się. – Dam ci więcej, dam wszystko, co mam, zaklinam cię na najświętszą panienkę, na Boga wszechmogącego, na wszystkich świętych, nagnij mi to drzewko. Nagnij to drzewko – zawył wściekle i jakby sam wystraszony swoim krzykiem, przeszedł na gorączkowe zapewnianie, że przychyli jej nieba, jak mu pomoże.

Bagno dotykało już torby. Ściągnął ją i rzucił jej pod nogi.

– Mam tam złoto, weź sobie, otwórz, zobacz, są jeszcze dwa imperiały, to na początek, weź je sobie, tylko nagnij mi to drzewko, dziecino.

Juz was znom, Poloki, mruzczała Rozalka pod nosem. Jak tylko pana wyratuje, to mnie obje, ze go nie wyciungnenam łód razu. Tera mówi: weź je sobie, a jak wezne i go wyciungne, to wygarbuje mi skórę i jesce do dziedzica doniesie, zem go okradła, i mnie jak nic najpirw dworskie, a potem ojciec objo, i wtedy jo będę srała po nogach. Nie takie historie opowiadały o dobrych panach, co dobre były, jak im coś trza było. No zeby pan się jak jaki strachliwy parobek boł, to tego nikt nie opowiadół. Szczerzyła zęby, białe na tle ogorzałej twarzy, i wpatrywała się w pana.

Tkwiał w bagnie do pasa. Przestał zwracać uwagę na Rozalkę. Na zmianę był jak bity pies, darł się o pomoc, błagał Pana Boga o zmiłowanie, charczał i miotał rękami. Ona też zaczęła machać rękami i podskakiwać, a tak ji było gorunco, że grzało jo błoto, co wlażło ji między palce u nóg, i się bała, że od tego gorunca to się ji kruk popsuje, to go odrzuciła i tańcowała sama, pokrzykując przy tym:

– Pan sie bojo, pan sie bojo, pana Stsyga zjodo! Prec, Poloku, prec do piochu!

Z pana zostały tylko ręce. Przez dłuższą chwilę telepały się gwałtownie i rozbryzgiwały błoto aż pod nogi Rozalki. Kiedy bagno znieruchomiało, sięgnęła po imperiała. Potem otworzyła torbę i wyciągnęła resztę złota. Zważyła w ręku trzy monety gestem, który podpatrzyła u handlarza końmi. Przygryzła zębami i kiwnęła głową, że dobra próba. Wyciągnęła srebrny medalion i zobaczyła ładną panią o uśmiechu szczęścia podobnym do tego, jaki raz w życiu widziała na twarzy matki, dwa lata nazad, kiedy jałówka wydobrzała i nabrała apetytu. Na koniec wzięła do ręki kajet w czerwony okładce w złote esy-floresy i otworzyła na pierszy strunie.